

Jednak zawód

AUTOR: JACEK CIEŚLAK

Kielecki *Frankenstein* to najślabszy spektakl w dorobku duetu Jędrzej Piaskowski/Hubert Sulima. W uratowaniu potworkowatej mieszanki książki Mary Shelley, jej biografii i mniej lub bardziej przypadkowych fantazji nie pomógł nawet znakomity zespół aktorski.

■ Ponieważ po tej recenzji pisana jest mi rola dziadersa, zacznę zgodnie z konwencją, czyli pompatycznie: o porażce duetu piszę z zaskoczeniem i smutkiem, ponieważ spektakle Piaskowskiego i Sulimy wielokrotnie na tych łamach miałem okazję opisywać jako przykład przedstawień dzisiaj wyjątkowych. Z jednej strony twórcy prezentowali oryginalne podejście do historii, widzianej z perspektywy indywidualnej, nieheroicznej i łamiącej tabu, z drugiej zaś, w przeciwieństwie do innych przedstawicieli swojego pokolenia, nie szli koniunkturalnie za modą teatru postdramatycznego, tylko proponowali własny. Mniej wyrobieni widzowie mieli wrażenie, że obcuja ze sztuką popularną, zaś osoby o większej znajomości konwencji i kontekstów mogły cieszyć się oglądaniem pastiszu lub scenicznej zabawy (lubelskie *Trzy siostry*), za którymi zawsze kryły się niebanalne przemyślenia i reinterpretacje scenicznych stylistyk. Dobry przykład stanowi również lubelska *Dama kameliowa* 1948. W kostiumie historycznej opowieści, którą z zapartym tchem, jakby to był tylko romans, oglądały zwykle osoby w starszym wieku (przepraszam za ageizm!), duet opowiadał o współczesnych politycznych wykluczeniach.

Kieleckiemu *Frankensteinowi* najbliżej jest do sosnowieckiego *Wujaszka Wani* w Teatrze Zagłębia. Tam po raz pierwszy bodaj ujawniła się skłonność duetu do operowania serio traktowaną tkliwością i naiwnością, a nawet świadomie użytym infantylizmem oraz kiczem w celu stworzenia „fajnego”, nieprzemocowego i nieagresywnego teatru zgodnego z najnowszymi trendami. *Wujaszek Wania*, w przeciwieństwie do *Trzech sióstr* i *Damy kameliowej* 1948, został odarty z historycznej, kostiumowej konwencji, w zamian otrzyma-

liśmy spektakl skrajnie minimalistyczny pod względem scenograficznym, z kostiumami z hipsterskich lumpeksów, muzyką uznawaną niegdyś za kicz i wyszydzaną przez tak zwane elity, dziś zaś uważaną za nośnik niezakłamanych emocji. Aktorzy grali delikatnie i zabawnie, żeby nie skrzywdzić siebie i postaci. Osoba zwierzęca grana była przez aktorkę. Tak to się dziś robi i nazywa.

Przechodząc już do opisu kieleckiego *Frankensteina*, warto jeszcze podkreślić, że atutem wcześniejszych spektakli duetu była dobra klasyczna literatura. Hubert Sulima adaptował ją inteligentnie, nie przepisując arcydzieł na dzisiejszy język, a jednocześnie uzyskując mocny, współczesny efekt. W Kielcach jest inaczej. Na afiszu mamy *Frankensteina* Mary Shelley, fundamentalną powieść grozy z początku XIX wieku. Tymczasem książka na scenie stanowi jedynie punkt wyjścia do tworzenia autorskiego patchworku, choć celniej byłoby powiedzieć: potworka – używając określenia, którego dziś krytyce stosować już nie wypada, staje się bowiem wtedy nietolerancyjna, przemocowa, na służbie złotego cielca, czyli tradycyjnie pojmowanego ideału arcydzieła, gdy dziś liczy się przede wszystkim społeczny przekaz. Cofam się pewnie w rozwoju o co najmniej dekadę, muszę jednak zauważyć, że podkreślenie na afiszu faktu, iż spektakl jedynie opiera się na motywach klasycznej powieści, uspokoiłoby tych widzów, którzy nie dają sobie rady z zapanowaniem nad scenariuszową materią. Obwiniają się o brak inteligencji, nie mogąc posklejać we własnej interpretacji tego, co zostało zapowiedziane jako wierna adaptacja.

Generalnie mamy do czynienia z pomieszaniem powieści Shelley i jej biografii z wątpliwej

jakości tekstami Sulimy, który wcześniej być może nie chciał poprawiać Czechowa, bo bał się porównań z gigantem, ale poprawianie oraz implementowanie gotyckiego romansu uznał za mniej groźną pokusę, więc „popłynął”.

Całość zaczyna się od odczytania zaskakująco podniosłej romantycznej korespondencji, po czym oglądamy scenę dziecięcych urodzin, łączącą poprzez kostiumy i konwencje zachowań różne czasy i postaci (aktorzy grają w spektaklu po kilka ról). Celem tej sceny ma być chyba pokazanie szczęścia rodzinnego. Jest miło, sympatycznie, ale też swobodnie, bo nikogo nie krępuje ani, pardon, puszczenie bąków, ani rozmowa o tym. Po prostu rodzinna idylla oparta na spontaniczności i znajomości ludzkiej natury. Ten zaś beztronski obraz przerywa – jak piorun z jasnego nieba – nieoczekiwana, fatalna, bo przypadkowa, śmierć matki porażonej przez prąd w źle zabezpieczonym gniazdku. Rzecz może odnosić się do biografii Shelley – jej matka zmarła dzień po urodzeniu córki. Takie dramaty zawsze kładą się cieniem na życiu.

W kieleckim spektaklu próbę oswojenia sytuacji podejmuje Alfons Frankenstein (Jacek Mąka), ojciec Wiktora Frankensteina (Mateusz Bernacik), postaci zaczerpniętej z powieści Shelley. Oglądamy scenę, której centralnym punktem scenograficznym jest upamiętniająca tragicznie zmarłą matkę kolumna nagrobkowa. Nad wyraz dobrotliwy ojciec zabezpiecza ją piorunochronem, chce bowiem przekuć traumę syna w naukowe, wyzbyte resentymentów podejście do świata, i przekonać go, że możliwe jest racjonalne oswojenie żywiołów. Ta sekwencja to dobry przykład patchworkowego myślenia autorów. Z jednej strony proponują gotycką wzniosłość z quasi-

-marmurową kolumną cmentarną potraktowaną pastiszowo, z drugiej zaś stosują hipsterską tonację, sadzając bohaterów na dzisiejszych leżakach, gdzie ojciec i syn prowadzą swobodną rozmowę. I tym razem ma być miło i sympatycznie, a realizacja tej tęsknoty stanowi na pewno jeden z najważniejszych atutów spektaklu. Nawet duchy pokazane są w oswojony sposób – przyjaźnie. Chodzą po scenie nakryte prześcieradłami, jakby to był dziecięcy teatr lub sequel serialu *Wakacje z duchami*. Minimalistyczny teatr „za pięć złotych” współtworzą też instalacje ze sklejki, układające się w obraz rozwarstwionej rzeczywistości, przygotowane przez scenografów Annę Marię Karczmarską i Mikołaja Małka. Ponieważ obcujemy z duchami, pojawia się uważana za prekursorkę feminizmu matka Mary Shelley – Mary Wollstonecraft, grana dobrze przez Joannę Kasperek (feministyczny wydźwięk ma scena z zamaskowanym sądem – bezlitosnym dla kobiet).

Wegetariańską aurę wnosi zaś „intermedium edukacyjne” z udziałem trzech Much, które mają nas odstraszyć od zgnilizny i rozkładu mięsa oraz mięsnych potraw. Muchy siadają bowiem raz na mięsie, raz na kupie, a ludzie potem takie obrzydlistwo jędzą.

Przełom w historii następuje, gdy Frankenstein zaczyna studia, chce być naukowcem, marzy, by zapanować nad tymi zjawiskami

natury, które w fatalny sposób niszczą ludzkie życie, a jeśli iskra elektryczna zabiła matkę – pragnie, by kierowana przez człowieka elektryczność przywracała również ludziom życie. Jak wszyscy wiemy, Frankenstein od dwóch wieków traktowany jest jako przestroga przed ingerowaniem w boski akt stworzenia czy przed łamaniem praw natury, bo to musi prowadzić do katastrofy lub narodzin potwora. Jednak Piaskowski i Sulima unieważniają w swoim spektaklu ten trop. W postaci szalonego naukowca Frankensteina akcentują motyw dobrych intencji ludzi walczących z syndromem śmierci, żałoby, cierpienia, a w postaci odmieńca, nazwanego Bezimiennym – pragnienie akceptacji. Niestety poprzez swój wygląd i zachowanie odbiegające od społecznych norm i stereotypów – bohater nie może na nią liczyć. Najłatwiej byłoby wpisać ten sens w niedokończoną debatę o równouprawnieniu LGBT+, ale Piaskowski, który intrygująco podjął to zagadnienie w spektaklu *Puppenhaus. Kuracja TR* Warszawa, teraz nie chce zawęzać tematu. Mówi o wszystkich odrzuconych. Mnie zaś przypomina się znakomity film *Młody Frankenstein* Mela Brooksa, który podszedł do tematu Shelley z typowym dla siebie absurdalnym humorem. Oto ożywiony w laboratorium nieboszczyk, który otrzymał mózg szaleńca, ma jednocześnie dobrotliwe usposobienie, lgnie do ludzi, zwłaszcza dzieci

i starszych. Jednak jak to bywa w slapstickowej komedii – trudno zapanować nad żywiołem życia, a dobre chęci przynoszą odwrotny skutek.

Bezimiennego gra w Kielcach Dawid Żłobiński. Mamy zarysowane tło „złych” uczynków potwora – to na jednej szali, a na drugiej – brutalne odrzucenie Bezimiennego przez ludzi niedających mu żadnej szansy. W długim monologu, w komiksowym kostiumie, w butach na dwudziestopięciocentymetrowych koturnach niczym gwiazda glam rocka, Bezimienny opowiada, że różni się od wszystkich, ale prosi o szacunek i miłość, o to, by go nie odrzucać. Wszystko jest piękne i godne poparcia, niestety szczytny cel spektaklu nie uświęcił środków: scenariusza, formy i przebiegu. Pretendująca do nowoczesności całość da się opisać dawną formułą „groch z kapustą, z nogą tłustą”. Deklaratywność staje się nieznośna, jednocześnie nie mam żadnej wątpliwości, że taką konwencję autorzy wybrali świadomie, jest bowiem zgodna z najnowszymi trendami, faworyzującymi tak zwane projekty o charakterze społecznym, które zastępują klasyczne spektakle.

Pointa może być jedna: Jędrzej Piaskowski i Hubert Sulima w słusznej skądinąd sprawie stworzyli na scenie teatralnego potwora. Można go obejrzeć, ale podziwiać – trudno. Szkoda. ■

TEATR IM. STEFANA
ŻEROMSKIEGO
W KIELCACH

Frankenstein
Mary Shelley

tłumaczenie
Maciej Płaza
adaptacja,
dramaturgia
Hubert Sulima
reżyseria
Jędrzej Piaskowski
scenografia
Anna Maria
Karczmarska,
Mikołaj Małek
kostiumy
Rafał Domagała
światło
Monika Stolarska
choreografia
Szymon Dobosik

premiera
29 października 2022

Od lewej:
Jacek Mąka
(Alfons),
Mateusz Bernacik
(Wiktor)



fol. Monika Stolarska / Teatr Żeromskiego w Kielcach